

# Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

## Jasna Góra.

Częstochowa — „miejsce święte“ na ziemiach polskich, miejsce, na wspomnienie którego żywiej biją serca i myśl mimowoli biegnie przed Majestat Pana, położona jest na lewym brzegu srebrzystych fal Warty, na rozległej płaszczynie, okrążonej znacznymi wzgórzami. Na tych ostatnich częściowo rozsiadło się i samo miasto. Dzieli się ono na dwie części: Starą Częstochowę nad rzeką i Nową, otaczającą wyniosłe wzgórze Jasnogórskie. Obie części łączy wspaniała, cieniasta aleja Panny Marji, dochodząca do samego klasztoru, gdzie znajduje się słynny na cały świat chrześcijański cudowny obraz Najświętszej Matki Bożej.

O wizerunku tym tak mówi jedna z legend, jakże przechowały się w duszach pobożnych:

„Po powrocie z Egiptu św. Józef i młodociany Pan Jezus, wspólnie pracując wykonali z drzewa cedrowego mały stolik, który św. Rodzinnie służył za ołtarzyk do odprawiania modlitw.

Wkrótce stół ten podarowany został zgromadzeniu bogobojnych niewiast. Te zwróciły się do św. Łukasza Apostoła z prośbą, aby wymalował na blacie wizerunek Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

Apostoł zgodził się uczynić zadość życzeniu dziewcząt, i rozpoczął pracę.

Szła mu ona niesporo. Mimo wszelkie usiłowania, obraz nie był takim, jaki chciał stworzyć św. malarz.

Wtedy rzucił się na kolana w gorącej modlitwie, prosząc Boga o natchnienie. Modlitwa trwała długo, aż wreszcie, gdy Apostoł ocknął się z zachwytu, ujrzał, że święty wizerunek już był skończony.“

Trzy wieki obraz był własnością dziewic na górze Karmelu, lecz 330 r. w tymże czasie co i drzewo

Krzyża św. znalezione zostało, cesarzowa Helena przewiozła go do Konstantynopola.

Nad Bosforem przetrwał pięć wieków.

Roman Halicki, książę słowiański za wielkie usługi, oddane Kościołowi otrzymał go w darze i przeniósł do zamku bełskiego.

Niezapługo na warownię tę napadli tatarzy. Podczas oblężenia, jedna ze strzał wymierzona ręką najezdźcy, ugodziła w szyję Marji, czego znak do dnia dzisiejszego pozostał.

Lecz Bóg zesłał cud: niespodzianie obóz dzikich mieszkańców Wschodu zaległy takie nieprzeniknione mroki, że dalsze prowadzenie walki stało się niemożliwym i radzi nieradzi odstąpić musieli.

Gdy Władysław, książę Opolski opuszczał Bełż, oddany władcom litewskim, chciał również, aby i dzieło św. Łukasza nie pozostało w nim, lecz w Opolu. Przejeżdżając około Jasnej Góry, konie stanęły i ruszyć się z miejsca nie chciały, powstrzymane wolą Wyższą.

Obraz pozostał w ko-

ściele tamtejszym już istniejącym.

Dla tak cudownego obrazu trzeba było większej i okazalszej świątyni.

Dzięki namowom Ludwika, króla węgierskiego ks. Władysław otworzył swą szkatułę i wybudował klasztor na Jasnej Górze.

Dla opieki zaś nad obrazem sprowadził z Węgier zakonników reguły św. Pawła, pustelników, zwanych Paulinami.

W r. 1430 rozbójnicy okoliczni, słysząc o nieprzebranych skarbach mnichów, napadli na nich w samą uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego.



Obrona Częstochowy.





Sala rycerska w klasztorze na Jasnej Górze.

Omylili się jednak rabusie.

Skarbów nie znaleźli.

Więc postanowili się zemścić. Jeden z nich chwycił za miecz i ciął nim w wizerunek św.

Bóg ukarał go: padł martwy na ziemię z uschniętą ręką.

Król Jagiełło kazał owe cięcia na szyi i twarzy zamalować, lecz żaden mistrz nie mógł spełnić jego woli: ślad wieczną został pamiątką.

A sława cudownego obrazu „wzrastała z latami, Wielcy i mali, zdrowi i chorzy, mądrzy i prostaczkowie, królowie i nędzarze spieszyli do stóp Marji Panny“.

Klasztor nieraz gościł w swych murach królów polskich, i najwyższych dygnitarzy kościelnych i świeckich oraz mężów wielkiej nauki.

W tutejszej kaplicy Władysław Jagiełło przed chwałą Grunwaldu kornie schylił swą dumną, koronowaną głowę, błagając pomocy i błogosławieństwa na bój jaki go czekał, bój, co zwał, w gruzy obrócił krzyżacką potęgę i pychę.

Syn jego Kazimierz również często odwiedzał klasztor Jasnogórski. Złotousty Piotr Skarga, najznakomitszy kaznodzieja polski w kaplicy tamtejszej w pokornej modlitwie prosił Boga o natchnienie i moc swego słowa.

Panowanie Zygmunta III pięknie i trwale zapisało się w dziejach klasztoru, przebudowano go bowiem i znacznie rozszerzono, a Władysław IV wydał rozkaz otoczenia świątyni obronnymi murami i głęboką fosą.

Klasztor stał się silną twierdzą.

„Chyba przeczucie, pisze jedna z wybitnych autorek współczesnych, kierowało tym czynem króla, bo niedługo potem Częstochowa ważną w dziejach naszych odegrała rolę. Wojska szwedzkie załazy kraj: jedno miasto po drugim wpadało w ich ręce, nawet Kraków musiał najezdnikom otworzyć bramy. Przyszła kolej na Częstochowę. W r. 1655 Müller, dowódca wojsk szwedzkich na czele licznego wojska zbliżył się domurów klasztoru i zażądał, by mu otworzono bramy, a gdy zakonnicy odparli, iż nigdy tego

nie uczynią, gradem kul sypać rozkazał. Zaczęło się oblężenie, któremu podobnego nie było może w historii świata. Garstka żołnierzy, kilkudziesięciu mnichów z odwagą stawiało czoło tysiąckroć liczniejszemu nieprzyjacielowi, przed którym drżał kraj cały. Ale nad klasztor czuwała moc potężniejsza, niż wszystkie ziemskie moce, czuwała opieka Marji Panny! Klęska po klęsce spadały na szwedów. Kule niewprawną ręką szwedzkich puszkarzy kierowane, przelatowały nad klasztor, nic mu złego nie czyniąc. Oblężeni raz po raz dniem i nocą robili wybieżki i zniecka, niby grom spadali na Szwedów, kładąc ich trupem wokoło, jak nawałnica gradowa, gdy w pole pszeniczne uderza. Żołnierzami w twierdzy Jasnogórskiej dowodził Stefan Zamoyski, miecznik sieradzki, ale prawdziwą duszą oblężonych był przeor Paulinów, ks. Augustyn Kordecki, którego pomnik bieje wśród

ogrodu klasztoru. W sam dzień Bożego Narodzenia, wstydem i hańbą okryci, odstąpili Szwedzi od Częstochowy po pięcioletnim oblężeniu, a bohaterska obrona garstki mnichów i żołnierzy tak wzbudziła zapal we wszystkich, tak skrzepiła osłabłe serca, że kraj cały, jak jeden człowiek, dźwignął się do góry. Ręce za oręż chwyciły i niezadługo potem najezdników wypędzono z Polski“.

Szwedzi nie mogąc sobie darować, że nie zdobyli tego „kurnika“, jak pogardliwie nazywali Jasną Górę, jeszcze raz za panowania Augusta II Sasa chcieli nim zawładnąć.

I znów napróżno.

Dzieje narodu naszego silnie są zespolone z dziejami Jasnogórskiego klasztoru. Każdy ważniejszy wypadek w kraju, czy wojna, czy inne jakie gorsze lub pomyślniejsze dla ojczyzny zdarzenie miało zawsze pewną łączność z Częstochową.

Tutaj bowiem np. wziął ślub następca Jana Kazimierza, król Michał Korybut Wiśniowiecki, biorący za małżonkę Eleonorę, arcyksiężniczkę austriacką.

O dniu tym piszą: „był to dzień bardzo uroczysty. Tłumy dostojnych gości napełniały mury klasztoru, jaśniały fajerwerki, huczały salwy armatnie.“

W trzy lata później zamiast tego gwaru i wesela, cisza. Jakaż straszna tu cisza!

Ks. Augustyn Kordecki zamknął powieki, aby ich już nigdy nie otworzyć.

Zgon jego bolesnem echem ozwał się po całym kraju.

Jak powszechnie wiadomo w r. 1683 turcy w zwycięskim pochodzie posuwali się wciąż naprzód, a gdzie przeszli jakie ziemie, to stawały się one purpurowe od morza krwi, płonęły miasta, grody i wsie. W tym okropnym marszu doszli i oparli się o mury Wiednia. Zdawało się, że niema ratunku.

A jednak był.

Jan III Sobieski ruszył z odsieczą. Po drodze wstąpił do Częstochowy, gdzie Marji Pannie oddał się w opiekę.



I zwyciężył.

Widzimy więc, jak wielkim szacunkiem otaczane było to „święte miejsce“. Dalsze jego losy mają i jasne karty, ale są też i smutne: u schyłku XVII wieku pożar zniszczył wieżę, wielki kościół i zabudowania gospodarcze.

Odbudowa domu Bożego trwała pięć lat.

Cóż, kiedy znowu klasztor nie mógł zaznać zasłużonego spokoju, nieustannie trwożony wieściami o wojkach saskich (1711 r.), które wielkie wyrządzały szkody w dobrach klasztornych, niszcząc pola i łąki bezprawnie.

Ks. prow. Moszyński z wielką energją wziął się do podniesienia tego przybytku Bożego. Hojne ofiary popłynęły obficie, tak, iż kardynał Odescachi nuncjusz papieski, bawiący na Jasnej Górze na jesieni 1713 r. mógł już przyrzec, że wyjedna w Rzymie pozwolenie na uroczystą koronację obrazu. Koronacja przy udziale czterech biskupów i wielotysięcznej rzeszy wiernych odbyła się 8 września 1717 r.

Nietylko ofiarność publiczna pozwalała rozwijać się siedzibie ojców Paulinów. Sejm też dbał o nią: zatwierdził wszystkie nadania, jakie kiedyś klasztor posiadał, a na utrzymanie w należyтым stanie twierdzy przeznaczył starostwo Brzeźnickie.

August II wyniósł Częstochowę do godności miasta z własnym magistratem. Ustanowił też jarmarki, które ściągały kupców.

W ten sposób miasto mogło się rozwijać; rozwijał się też i klasztor, bo „dzieje miasta są właściwie dziejami klasztoru“ — mówi historyk.

Następnie Jasna Góra różne przechodziła koleje: w r. 1770 konfederaci barscy pod dowództwem Kazimierza Pułaskiego, zajęli tę twierdzę, gdzie oblężeni byli przez Drewicza, generała rosyjskiego, który w sile 5,000 ludzi w ciągu 17 dni kusił się o jej zdobycie.

Po upadku konfederacji, ks. Golicyn obległ warownię, którą mu też oddano. Władali nią też i prusacy, opanowawszy ją dzięki pułkownikowi Wartenbergowi. Wkrótce potem przybył tu Wilhelm II, król pruski i był obecnym na solennem nabożeństwie, pomimo że wyznawał religję luterańską.

W wojnie z austriakami 1809 r. chciał nieprzyiciel zawiesić swój sztandar na Jasnej Górze, co jednak wykonać nie mógł, bo dzielny komendant twierdzy, Kajetant Stuart, odparł wroga, najpierw rażąc go piekielnym ogniem działowym, a potem gonił pierzchających i znaczną część wziął do niewoli.

Jakie są dalsze jego dzieje?

Gdy zgasła gwiazda „boga wojny“ — Napoleona, klasztor wziął w posiadanie Aleksander I. Cesarz ten kazał znieść fortyfikacje świątyni, obok której w roku 1859 wystawiono na wałach pomnik obrońcy Częstochowy — Augustynowi Kordeckiemu.

Dzisiaj, gdy cały naród Polski ma oczy zwrócone na Jasną Górę, gdzie odbędzie się uroczystość poświęcenia Stacji Męki Pańskiej, otaczających wspaniałym wieńcem wały klasztorne, gdy tysiące pątników ze wszystkich trzech zaborów zjechały tutaj, złączone mi-

łością ku Marji Pannie, w sercach polaków goreje płomień uwielbienia dla tego „świętego miejsca“, co wieki przetrwał i wieki trwać będzie. A świetlane jego promienie bić będą na wsze strony, a dokąd dotrą, bo dotrą wszędzie, tam wyrwie się z piersi hymn chwały i czci dla Jasnej Góry, skąd radosne dźwięki uroczystości potężnem echem odbijają się w sercach tych, co mieli szczęście być podczas nich na nadwartkich błogosławionych wzgórzach.

*Kazimierz Rydzewski.*



KOŚCIÓŁ KATOLICKI W JAŁCIE.

Jałta jestto słynna stacya klimatyczna z kąpielami morskimi. Leży w gub. taurydzkiej, na południowym brzegu Krymu, o 81 wiorst od Sewastopola. Między 13,000 ludności, znajduje się tam i garść katolików Polaków. Posiadają oni bardzo wdzięczny, schludny, starannie utrzymany kościółek, którego podobiznę podajemy.

## Wystawa w Lipsku.

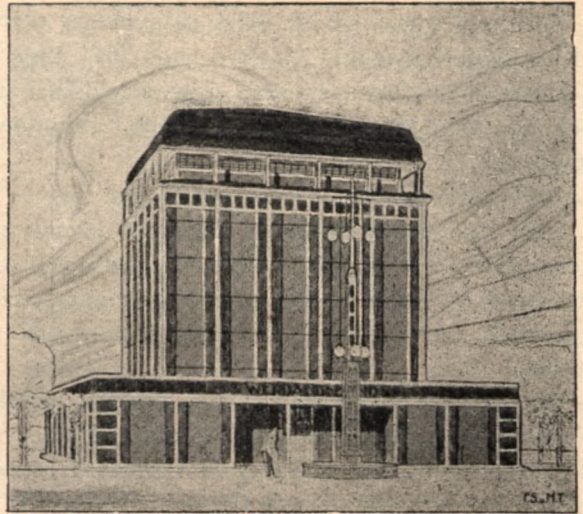
Sztuka budownictwa robi z roku na rok coraz większe postępy, nietylko pod względem zdobniczym, lecz i technicznie rozwija się „ogromnie szybko“. Koniecznością zatem jest zrobienie co pewien czas przeglądu zdobyczy technicznych, ocenienie pracy budowniczych nie na jednym jakimś budynku, lecz na zbiorowym pokazie.

W bieżącym roku odbywa się w Lipsku w Saksonji wystawa architektoniczna, na której budowniczo wie pokazali całą swoją umiejętność.

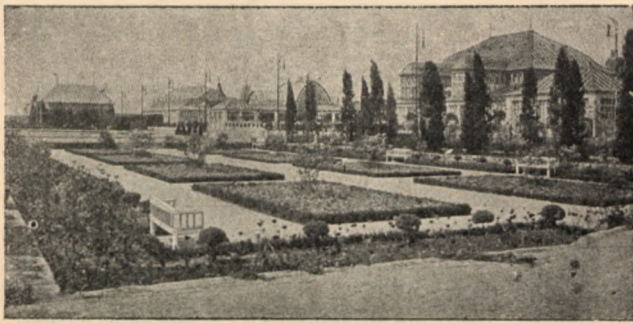




Wejście na wystawę.



Pawilon towarzystwa Wernandi.



Ogólny widok wystawy

Wzniesiono tam cały szereg budynków najrozmaitszych stylów i najrozmaitszymi sposobami. Obok pięknej budowli greckiej z marmuru, stoi drewniany norweski dom, a tuż obok kamienica cała z żelaza i betonu.

Wystawa taka zaciekała niezmiernie budowniczych, którzy przyjeżdżali nauczyć się wielu nowych sposobów; zwykła zaś publiczność oglądała z zajęciem niezwykle okazy.

Podajemy parę widoczków z wystawy lipskiej.

## NIGDY!!!

34)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

Vendamme, nie otrzymawszy przyrzeczonych posiłków od Napoleona, osaczony ze wszystkich stron przez wojska nieprzyjacielskie, poniósł ciężką porażkę pod Kulm, czyli Chełmnem w Zachodnich Prusach i tam dostał się do niewoli.

Porażka ta zniweczyła wszelkie korzyści poprzednich zwycięstw.

W dodatku najzdolniejszy z jego wodzów, marszałek Ney w dorzeczu Czarnej Elstery, pod Dannewitz poniósł też straszną klęskę.

Pułki cudzoziemskie przechodziły do prusaków; zupełnej porażce i zniszczeniu armji przeszkodził tylko generał Krukowiecki, zasłaniając tylne jej szeregi od nieprzyjaciela.

Wśród tylu klęsk Napoleona ogarniała rozpacz.

— Jedyna nasza nadzieja w ks. Józefie Poniatowskim! — powtarzał sobie w duchu.

— Trzeba go ochraniać by użyć w stanowczej chwili.

Książe Józef tymczasem, nie mając rozkazu atakowania nieprzyjaciela, staczał podjazdowe walki.

— Koniec już wrześnie, jesień, musi się przecież ta walka zakończyć! — pocieszał się.

— Ale co będzie z Księstwem Warszawskim? co będzie z nieszczęśliwym naszym narodem? — myślał bezustannie.

Jednocześnie rozzuchwalone zwycięstwami Prusy, Austria i Rosja zrobiły układ, że państwo między sobą rozdziela.

— I oto ten szmat ziemi, za który tyle tysięcy krew przelewało, miał się stać łupem państw sprzymierzonych przeciw Napoleonowi.

d. c. n.



# Legenda.

Przed wiekami, przed dawnemi,  
Hen, po jasne mórz zwierciadło,  
Na tej samej, polskiej ziemi,  
Wielkie plemię się rozsiało.

Był to naród nad narody!  
Oh! jedyny dziś pod niebem...  
Orał pługiem, sycił miody  
I rad dzielił się swym chlebem.

Ziemię swoją macierzystą  
Ponad wszystko kochał w świecie:  
Sercem czystem, duszą czystą,  
Jak swą matkę kocha dziecię.

To też ziemia ta najświętsza  
Pełna była dlań ofiary:  
Gdzie się wkopał do jej wnętrza,  
Wszędzie skarbów miał bez miary...

Wszystko z Bożej wziął szczodroty,  
I na roli i pod rolą:  
Miał żelazo na brzeszczoty  
I chleb własną krasił solą.

A gdzie wysłał wzrok na zwiady,  
Bóg go hojnem cieszył wianem:  
Kwieciem śmiały mu się sady,  
Łany zbożem, łąki sianem...

Zwierza w lasach miał niemało,  
Wody rybne, ule rojne,  
Samo życie mu się śmiało  
Pracowite i spokojne.

Niechaj mówią jezior tonie,  
Głębie naszych wód bezdenne,  
Co tam kryją w swoim łonie  
Jakie skarby drogocenne?

Gopło! otwórz swe przepaście,  
Z których tyle podań trysło,  
I o starym powiedz Piaście...  
Mów o Wandzie, sina Wisło!

Pograniczny Dnieprze, Odro,  
Rzeki, wody Polski całej,  
Wyśpiewajcie piersią modrą  
Pieśń dziejowej naszej chwały!

Bo jak polskich dziejów fale  
Czystem biegły wciąż korytem,  
Tak i w waszych wód kryształach  
Bóg je pierwszym odbił świtem.

Jest jezioro jedno słynne,  
W wieńcu głuchych puszczy zamknięte,  
Które dotąd usta gminne  
W prostej mowie zowią „święte“.

Mówią ludzie: gdy zmrok pada,  
Strach wśród ciemnych jechać borów,  
Bo już sobą człek nie włada  
Wpośród duchów i upiórów.

Ponad trzciny, lilie wodne,  
Co tam rosną nad jeziorem,  
Wstają jakieś mary zwodne...  
Słychać głuchy jęk wieczorem...

I jeżeli wierzyć dalej  
Prostaczego serca strunie,  
Na powierzchni nieraz fali  
Orszak mrocznych duchów sunie...

I na łąki, na pokosy,  
Na obszary i rozłogi,  
Dziwną pieśnią grzmi w niebiosy,  
W której stare sławi bogi.

Ile z wątku dosnuć można,  
Co podaje baśń zawila,  
Niegdyś Mieszka dłoń pobożna  
Bóstwa pogan tu topiła.

I tu, — podług baśni starej,  
Co z ust do ust bieży chyża:  
Po raz pierwszy światło wiary  
Błysły Polsce z ramion krzyża.

W nich zaranie dziejów świeci,  
Co się zmienia w świt wspaniały;  
Tylko patrzę — rychło wzleci  
Pod obłoki orzeł biały?

Rychło Wojciech, ów mąż Boży,  
Chrztem zbawienia skroń mą zrosi?  
Rychło wrota Piast otworzy  
I do chaty mię zaprosi?

O! przestworzu wód szeroki!  
O! jezioro ty natchnione!  
Za te czary i uroki  
Bądź po stokroć pozdrowione!

W świętojańską noc czerwcową  
Obyczajem jest u gminu,  
Że dziewczyna w Wisłę płową  
Rzuca wieniec z rozmarynu;

A u brzegu chłopiec młody  
Kwiat rzucony chwyta w locie,  
I oboje z biegu wody  
Wysnuwają guseł krocie.

I pierś młoda gra otuchą,  
Rojąc w marzeń swych kolebce...  
A ktoś zgadnie, co w noc głuchą,  
Młodym sercom Wisła szeptce?

Władysław Belza.



STANISŁAW BEŁZA

33)

## NAD ŻŁOTYM ROGIEM

Na tę pamiątkę zdobywca Konstantynopola wystawił piękną świątynię i żaden sułtan nie uważa się za następcę proroka, póki w niej nie przypasze miecza Mahometa.

Przedmieście brudne, nędzne, cuchnące.

Uliczki wązkie, domy na nich drewniane i rozpadające się, kupy gnoju uderzają oczy na każdym kroku, w kałuże błota wpada noga niemal wszędzie.

Za to widok stąd na miasto i na Żłoty Róg piękny.

Widzisz go, gdy staniesz przy murze cmentarnym, w całej wygiętej w łuk długości. małe, dające mu początek rzeczulki Słodkich wód Europy, jasnymi niemi wiją ci się w dali wśród kwiecia i zieleni łąk.

Do Hadzi Baby, utrzymującego kawiarnię tuż przy cmentarzu, poprowadził mnie mój przewodnik, i ukazał wspaniałą panoramę!

Wieczór zapadł, księżyc wychylał się już lekko na nieboskłonie, cała przyroda gotowała się po znojnym dniu do spoczynku.

Staliśmy i spoglądali w milczeniu.

Ptaki ucichły, ludzie pochowali się do swoich domów, kaiki poprzywiązywane do brzegów kołysały się z lekka na wodzie, psy układali się już na barłogach.

Nagle dał się słyszeć głos.

Głos z razu cichy, podnosił się powoli i rozlegał smutnym jękiem w dali.

Na minarecie meczetu w Ejubie muezzin nawoływał do modlitwy.

Odwrociłem od niego oczy.

W jednej chwili cała kawiarnia opróżniła się i zagajający ją w liczbie kilkunastu osób znaleźli się około mnie i mojego przewodnika na kolanach.

Z podniesionymi do góry rękami, kłaniali się i bili czołem o ziemię, spoglądając na księżyc, szepotali wiersze koranu, zdawali się zapominać o wszystkim, *być na świecie, ale już nie dla świata.*

A tymczasem z wieży minaretu głos smętny rozlegał się ciągle w powietrzu...

„Bóg jest wielki!

„Bóg jest jeden!

„Mahomet jest jego prorokiem!

„Chodźcie na modlitwę!

„Chodźcie do zbawienia!

„Bóg jest wielki!

„Bóg jest jeden!

. . . . .

Może te mury, teraz w ruinach, dochowałyby się do dnia dzisiejszego w pierwotnym swym kształcie, może ten Konstantynopol byłby jak dawniej, ogniskiem cywilizacji na Wschód daleki, gdyby przeciwko hufcom, w których rękach obrona pierwszych i drugiego spoczywała — ze skalistych wybrzeży Azji i piasków Arabji, nie były wyruszyły nad Bosfor tłumy, silne nietyl-

ko swoim uzbrojeniem, ale i przenikającą je wiarą — i w modlitwie zanoszonej przed tron Przedwiecznego kilkakrotnie w ciągu dnia, czerpiące siły do wytrwania w niepowodzeniu, pogardy życia, i walki z przeciwnościami...

## IX.

Legenda Żłotego Rogu. — Gdzie się przechowują baśnie i legendy — Jeszcze kawiarnie. — Medak. — Żarty i anegdoty literatury tureckiej. — Nasr Eddin Hodża. — Idziemy do Fanaru. — Grecy w Konstantynopolu. — To i owo w Stambule. — Gdzie jest kobieta?

Ponad temi wodami Żłotego Rogu, oplukującymi i to ostatnie ogniwo murów Konstantynopola, zwane Aiwan Serajem, i ten Ejub, który opuściliśmy przed chwilą, wsłuchani w smętny głos muezzina, nawołującego wiernych do modlitwy, unosi się prastara legenda.

Powtórzmy ją, zanim opuścimy wybrzeże tych wód i pogrzążymy się w morzu głów ludzkich, zapełniających Stambuł, jest ona bowiem bardzo na miejscu w tym świecie, gdzie tyle rzeczy jest jedną wielką legendą. Opromieni to niejakim blaskiem poezji opowiadanie nasze, zmuszone nieraz w sposób zbyt realny zdawać sprawę z wpadających w oczy obrazów, z poezją nie mających nic wspólnego, i powie coś nie o fantazji dziwnego ludu, którego ducha jest pięknym i wonnym kwiatem.

W miejscu, gdzie wody Żłotego Rogu biorą swój początek, stał pałac wspaniały z marmuru, godny najpiękniejszych cór tej ziemi.

Nieopodal pałacu tego mieszkał biedny rybak, Iszender, i nędzne potrzeby rodziny swojej zaspakajał z połowu ryb.

Zdarzyło się, że gdy raz sieć zapuścił, nie mógł jej wyciągnąć na brzeg. Coś jak gdyby trzymało ją w wodzie, niby przykuwając do dna. Zebrał więc wszystkie swoje siły, i kiedy ostatecznie sieć była na lądzie, ujrzał w niej nie oczekiwane pożądliwie ryby, lecz kobietę.

Było to w czasach sułtana Ahmeda, tego, który wybudował meczet o sześciu minaretach. Widziano wtedy nad Bosforem takie rzeczy, z jakimi się tam dziś spotyka. Nieraz rybacy wyławiali w Żłotym Rogu trupy kobiece, zepchnięte do wody u wrót Seraju. Zazwyczaj płynęły one ku morzu Marmara i w jego głębiach zamykały na wieki straszną tajemnicę; ale czasami, popychane prądem przeciwnym, dostawały się do Ejubu, by tam się znaleźć w sieci rybaka, poszukującego wcale innej zdobyczy. Wtedy rzadki z pomiędzy nich nie zawijał ich napowrót w worek i nie wywoził na środek morza Marmara, zgodnie z zamiarami tych, których były prawną przynależnością.



# STACJE

## Męki Pańskiej.



V. Cyrenejczyk pomaga dźwigać Krzyż Jezusowi.



VII. Jezus drugi raz upada pod Krzyżem,



VIII. Jezus pociesza płaczące niewiasty.



VI. Św. Weronika obciera twarz Jezusowi.



IX. Jezus upada pod Krzyżem po raz trzeci.



## Chodząca gazeta.

W czasach dawniejszych, ale nie tak bardzo dawnych, bo w końcu 18 i na początku 19 w. pism perjodycznych było u nas bardzo mało; najpoczytniejsza wówczas Gazeta Warszawska zawierała niewiele wiadomości politycznych i literackich, to też wszelkie nowiny rozchodziły się przeważnie za pomocą żywego słowa, a dostarczający je byli wszędzie mile widziani, słuchani, często nawet upragnieni, budząc zainteresowanie i życie.

Jedną z takich „chodzących gazet“ był znany ogólnie w Warszawie, a słynący nietylko w całym kraju, ale i zagranicą Franciszek Gugenmus, nadworny zegarmistrz króla Stanisława Augusta.

Rodzina jego pochodziła z Bawarii, ojciec przybył do Warszawy za panowania Augusta III-go i tu się osiedlił, a młody Franciszek urodzony i wychowany w naszej stolicy przywiązał się do niej całym sercem. Poświęciwszy się zegarmistrzostwu był bardzo zdolnym i sumiennym pracownikiem, wykształconym zegarmistrzem, a przytem doskonałym matematykiem,

Przebywszy kilkanaście lat za granicą, mianowicie w Genewie i w Paryżu wydoskonalił się jeszcze więcej w swojej sztuce, a chciwy wiedzy i nauki skupował mnóstwo cennych książek i dzieł; czy to specjalnych czy ogólnie kształcących i tym sposobem zebrał sobie cenną i zasobną bibliotekę.

Zestarzawszy się zajmował się mniej zegarmistrzostwem, a jako zapalony polityk zbierał wiadomości i nowiny polityczne i chętnie dzielił się niemi z tymi, którzy również jak i on byli ciekawi; niestrudzony biegał przez dzień cały to tu, to tam, a zasłyszane wieści opowiadał, tłumaczył, wyprowadzał z nich wnioski, robił uwagi i był wówczas w swoim żywiole, znali go wszyscy, chodził jednako zawsze ubrany: w granatowym staroświeckim surducie, w ciemnych lub czarnych krótkich spodniach, w białych jedwabnych pończochach i trzewikach ze sprzączkami; na głowie miał upudrowaną i ufryzowaną w wielkie loki perukę z herbajtlem z tyłu; głowy nigdy prawie nie nakrywał, a mały składany kapelusik nosił pod pachą lub w ręku. Tę oryginalną postać można było spotkać na różnych ulicach, w różnych godzinach, zimą czy latem, w pogodę czy w słotę, a zawsze śpieszył się, ogromnie zaaferowany, w kieszeniach miał różne zagraniczne gazety, broszury, liczne korespondencje i t. p. W mieszkaniach, handerkach, albo też ra ulicy opowiadał

licznie gromadzącym się koło niego słuchaczom o wypadkach politycznych, wyprawach, bitwach i t. p.

Gdy Napoleon pobił Prusaków pod Jeną, Gugenmus pierwszy wieść tę rozniósł po Warszawie.

Zdarzało się, iż władza miejscowa nie chcąc, aby różne wieści polityczne krążyły wśród mieszkańców Warszawy, upominali Gugenmusa, aby nie mówił zawiele, nawet raz ówczesny generał pruski, a zarazem gubernator warszawski Koehler wezwał go do siebie i prosił, aby nie rozsiewał wieści, które nie zawsze może są pewne i prawdziwe, ale staruszek mimo przyrzeczenia danego powszechnie lubionemu i cenionemu generałowi, zaraz na wychodnem od niego wtrącił jakąś wiadomość, tak że generał roześmiał się tylko i rzekł:

— Oj! panie, panie Gogenmus, nie możesz, widzę, obejść się bez siania nowinek, zdaje mi się też, że słowa nie dotrzymasz, więc już wolę zwolnić cię z niego.

Nowiny literackie cokolwiek mniej zajmowały Gogenmusa, to też je mniej rozpowszechniał; ale gdy raz na zebraniu u niego czytano w licznej gronie wiersz p. t. „Do legionów polskich“ i wszyscy słuchali go z rozrzewnieniem, dopytując się o nazwisko autora, Gogenmus, który ten wiersz dał do czytania rzekł:

— Ładna to poezja, prawda?... autorem tego wiersza jest młody palestrant Cyprjan Godebski z Wołynia... oho! mam ja i o nim wieści, mam — dodał jakby z pewną dumą, iż może objaśnić pytających; Godebski przedarł się do Włoch, przyłączył do legionów i jest tam bardzo dobrze widziany i szanowany; redaguje on pismo „Dekadę Legionów“, ale pismo to nie jest drukowane, tylko odczytuje się w rękopisie.

— Czy też on tu kiedy przybędzie? — zapytał ktoś z zebranych.

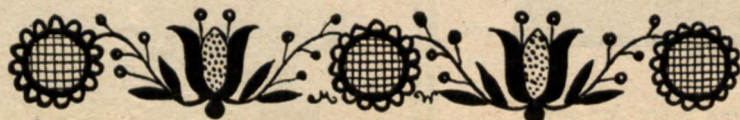
— Ma on tu być niezadługo — odparł Gogenmus, o! będzie radość i uciecha, będziemy mieli dużo ciekawych nowin.

I rzeczywiście w parę lat potem, przybył Godebski do Warszawy.

Słowem Gugenmus był o wszystkim dobrze poinformowany.

Od 60-go roku życia przez lat 20 trudził się jedynie zbieraniem i roznoszeniem nowin i wiadomości. Umarł w Warszawie 1820 r. mając około 80 lat.

*Helena Bojarska.*





KAP. BRERETON.

# Tajemniczy samolot

Przekł. z ang.  
M. G.

21)

— Nie wszystko! Wyrwijcie ten słup co tu stoi, wysuńcie go i siadźcie na jego końcu. A trzymajcie z całej siły! Pójdę po tej kłodzie i pochwyć ich... Do roboty!

Rozkaz wykonano w mgnieniu oka. Rzucili się ludzie cała masą, z zajadłością iście tygrysią na gruby pień jodły osadzony, przez troskliwą władzę, między ostatnim stopniem stromych schodów, a skrajem wybrzeża. Wydarli go z podstawy i wysunęli ponad wodę.

Słup miał ze dwadzieścia stóp długości i odpowiednią grubość.

Dwunastu ludzi usiadło na jednym końcu opartym na ziemi, podtrzymując go z wielką siłą; twórca zaś planu bez wahania wczółgał się na kłodę zawieszoną o parę stóp zaledwie, nad rozszalałymi wodami. Doszedłszy do końca uwiesił się u słupa i ciągnął w dół dopóki spodnia część nie zanurzyła się w wodzie... Setki ludzi patrzyły na to, wstrzymując w piersiach oddech...

Widać już było cienką linię, która łączyła tonących z samolotem. Ale zakotłowała się nagle woda i odrzuciła ich o dziesięć stóp od brzegu.

Tłum jęknął...

Wtem nowy wir zakręcił ich znowu i odepchnął napowrót, tym razem ku brzegowi, lecz już poniżej zatoczki.

Ludzie, przytrzymujący słup, wyteżali wszystkie siły; mężny człowiek, uczepony na samym końcu słupa jak mucha, wyciągnął rękę by pochwyć dłoń jednego z tających.

Ach! nowe uderzenie fali i już... już... zdawało się, że woda uniesie swą zdobycz... Lecz trwało to zaledwie sekundę... Bo następna fala poniosła tonących znowu bliżej i człowiek zawieszony na końcu słupa zdołał pochwyć za włosy pierwszego z brzegu... Ciągnął go silnie, a jednocześnie naprężyła się lina, łącząca ich z samolotem. Mężny człowiek wiszący na słupie wykręcił w bok głowę i ujął zębami ubranie Jerzego. A potem, nie tracąc czasu, jął cofać się tyłem, pomagając sobie obu rękami, witany hucznymi okrzykami patrzących.

Wyciągnęło się mnóstwo rąk na pomoc i pochwyciło Jerzego, nieprzytomnego chłopca, Teda i w końcu mężnego ich ratownika.

— Gotowe?! — zawołał jeden z trzymających. — Trzymać mocno! Ciągnąć na brzeg! Do góry! Hop!

Wyciągnięto ich na komendę; chłopca bezwładnego jak szmata, ze zbielałą twarzą, zamkniętymi oczyma, bez przytomności, a ten, który mu pierwszy przyszedł na pomoc, dźwignął się na nogi i otrząsnął.

— W samą porę! — zawołał! — Jeszcze chwila a byłoby już po nas!

Ted i Jerzy nie byli w stanie się podnieść. Zwłaszcza Ted tak osłabł, że długą chwilę leżał jeszcze

na wybrzeżu nieruchomy, gdy Jerzy, choć chwiejąc się w podejrzanym sposobie, stanął już na nogach.

— Chłopiec? — wyjąkał z wysiłkiem.

— Napół utopiony, ale żywy — odpowiedział ktoś z tłumu. Ale wy, panowie, macie się czem pochwalić! Nie każdemu się tak uda. Od pięćdziesięciu lat patrzę na te wody i nic podobnego nie widziałem. Piękne wody, ale nie łaskawe! Nie! Dla tych co w nie wpadną, to grób bez ratunku...

— Co słyhać? — zagrzmiało z góry wołanie pana Teodora, który opuszczał się coraz niżej ze swym samolotem.

Harvey wywijał energicznie czapeczką i wołał:

— Wszystko dobrze? Napewno? Nic im się nie stało?...

— Nic! — odpowiedziano z dołu. — Żywi, ale napół tylko...

„Upiór“, otrząsnął się z traw, liści i ziemi, które przyłgnęły do jego dzioba i wzbił się wspaniałe do góry, do samego wierzchołka skał nadbrzeżnych, i tam dopiero, upatrzawszy zieloną, równą przestrzeń na kanadyjskiej stronie, wylądował spokojnie. Ale wnet otoczyły go nieprzejrzone tłumy pieszych ludzi, wózków, rowerów, jeźdźców i samochodów, zdążających dla obejrzenia cudownego samolotu.

Nikogo jednak nie dopuszczono na pokład „Upiora“, który leżał na ziemi jak olbrzymi ptak ze zwiniętymi skrzydłami, błyszcząc swymi srebrzystymi ścianami. Każdy mógł go oglądać z daleka, podziwiać i robić uwagi. Ale dla tego tłumu, pan Teodor był i pozostał niewidzialny.

Gorąco i serdecznie powitał Teda, Jerzego i obcego człowieka, który rzucił się za nimi w fale Niagary, a teraz wszedł za chłopcami przez drzwiczki, umieszczone w ogonie samolotu.

Pan Teodor przyjmował ich na okratowanym pokładzie, nie ukazując się zebrany naokoło tłumom; ujął rękę Teda i uściśnął ją gorąco.

— Szlachetnie postąpiłeś! — zawołał z niezwykłym u niego zapalem, — i Jerzy również. gdy ci przyszedł na pomoc. — Ale i ty chłopcze — zwrócił się do Harvey'a — nie pozostałeś w tyle i spełniłeś swój obowiązek, pomagając mi w trudnym zadaniu... Anglia i Kanada, mogą się wami pochlubić!

— I stara Irlandja także — odezwał się obcy przybysz.

— Irlandczyk? — zagadnął go krótko pan Teodor?

— Irlandczyk, osiedlony w Kanadzie od sześciu lat — odrzekł zapytany. — Spełniliśmy nasz obowiązek wszyscy, niema co mówić! Moja matka będzie też ze mnie dumna... Ale ten samolot, to istne чудо! Przypatrywałem mu się ciągle, gdy nas woda niosła.

— Nazwisko i zatrudnienie? — rzucił lakonicznie pan Teodor.

— Terencjusz Honey, do usług. Zajęcie: łądo-



wanie i przewóz towarów. Zarobek: dwa dolary pięćdziesiąt centów dziennie.

— Żonaty czy nie? — pytał pan Teodor.

— Ani trochę! Dość kłopotu żeby siebie samego wyżywić. Gdzie tu myśleć o żonie i dzieciach?

— Dam ci inne zajęcie jeśli zechcesz. Brak mi jednego człowieka do załogi samolotu. Zaułcę podwójnie, Terencjuszu. Jesteś silny i odważny, takiego mi potrzeba. Ale wiedz, że u mnie możesz się spotkać oko w oko z niebezpieczeństwem.

Terencjusz roześmiał się szeroko, od ucha do ucha. Typowy to był irlandczyk. Świeży i hoży jak jutrzeńka, średniego wzrostu, zgrabnej budowy, miał w oczach wyraz stanowczości i siły, na twarzy wypisaną uczciwość i odwagę; śmiech zaraźliwie wesoły i coś niewymownie pociągającego w całej swej osobie.

— Pal licha! — zawołał. — Nie boję się byle czego. Służyłem w wojsku w strzelcach, i dwa lata przebyłem na wojnie. Do usług pańskich, jeśli taka pańska wola.

— Zgoda! — odrzekł pan Teodor. — Przygotuj się dziś do wieczora. Pojedziemy na Zachód.

O pierwszej po północy, gdy tłumy zaczęły się już rozchodzić, i otrzymano wiadomość, że chłopiec tak cudownie uratowany, odzyskał wreszcie przytomność, „Upiór“ wzbil się szybko w powietrze.

— Oj! trzymajcie! Zleciemy na dół! — wołał Terencjusz, stojąc na pokładzie z trzema chłopcami. Czy ja mogłem przypuścić coś podobnego! Oj! spada my... Już! już!

— Kiedyś spadniemy może — roześmiał się Harvey. — Ale na teraz niema obawy... To z początku tak się zdaje... Ale potem, człowiek czuje się tu bezpieczny, jak na pokładzie statku, na morzu... Wznosimy się teraz w górę, coraz wyżej.

Samolot rzeczywiście wzbil się w górę i zawrócił ku zachodowi, puścił się z szybkością strzały. Chmury zamknęły się za nim i tak znikł bez śladu oczom mieszkańców Niagary.

Nieszczęśliwy Terencjusz powłókł się do swojej przegrody, chwiejąc się na nogach i czując zawrót w głowie. Zawinął się w koc i mrużąc oczy, rażone światłem elektrycznych lampek, próbował uporządkować swoje wrażenia i wspomnienia z minionego dnia, aż wreszcie zasnął snem twardym, z którego ocknął się dopiero rankiem. Obejrzał się zdumiony.

— Ściany ze srebra, lustra naokoło! Czy mi się śni, czy co? Stoimy chyba w miejscu, bo nic się nie rusza i nie słychać maszyn... A może spadliśmy już na ziemię?...

d. c. n

## Gry sportowe na powietrzu.

### LAWN-TENNIS.

d. c.

Objaśnienia prawideł: ad 2. Zagrywający nie musi dotykać się stopą podstawy zewnętrznej lecz może trzymać nogę w powietrzu nad podstawą; po podbiciu zaś piłki może natychmiast wejść na swoje pole.

ad. 3. Następujące błędy, popełnione podczas zagrywania, uważa się za „przeszkodę“ (let) i wcale się tych rzutów nie liczy:

- a) gdy zagrywający nie trafi raketką piłki;
- b) gdy piłka w locie dotknie się górnego brzegu siatki, ale spadnie na właściwe pole (net-ball wym.: net bol);
- c) gdy piłka trafi kogoś nie grającego, lecz zresztą rzut był dobry;
- d) gdy zagrywający nie z własnej winy dozna ja-kiejś przeszkody podczas zagrywania;
- e) gdy zagrywający da pierwszy rzut przedtem, nim odbijający zawołał: można. Rzut jednak liczy się skoro odbijający wykonał jakikolwiek ruch w celu odbicia piłki, chociaż nie zawołał: można.

Gdy przez pomyłkę towarzysz zagrywającego da pierwszy rzut, wówczas na protest przeciwnej partji natychmiast właściwy zagrywający zajmuje jego miejsce, poczem gra postąpiła dalej zwykłym trybem. Gdy jednak przeciwnicy dopiero na końcu gry ten błąd spostrzegą, w takim razie zmienia się porządek w dalszym przebiegu partji o tyle, że ten, który powinien

był zagrywać w ostatniej grze, zagrywa w najbliższej drugiej grze.

ad 6. a) nie liczy się wcale rzutu, gdy zagrywający doznał „przeszkody“ podczas podbijania piłki.

Gdy pierwszy rzut był nieprawidłowy, wówczas przeciwna partja woła: „zły“, albo protestuje; gdy zaś zagrana piłka spadnie poza granicę właściwej przestrzeni, natenczas woła: „zagranicą“.

ad 6. b) Odbijający nie powinien zagranej piłki odbijać ani z powietrza ani wówczas, gdy uważa, że piłka spadnie za granicę właściwej przestrzeni. W tym ostatnim wypadku nie wolno wstrzymywać ani dotknąć się piłki, gdyż zagrana piłka dopiero wtedy jest „za granicą“, gdy spadnie na ziemię poza właściwym polem.

ad 6. d) Gdy piłka w locie dotknie się górnego brzegu siatki, albo odbije się od słupka lub linki, podtrzymujących siatkę, i spadnie na pole właściwe, w takim razie niema błędu.

ad 6. e) Nie wolno chwytać piłki raketką, ani trzymać jej przez pewien czas na raketce. Uderzenie liczy się tylko wtedy, gdy grający piłkę trafił: gdy więc przy pierwszym uderzeniu chybił, wówczas wolno jeszcze np. cofnąć się i piłkę odbić.

d. c. n



# PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAŁ

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 18)

XI.

Janek wyszedłszy stanął na ganku i rozglądał się ciekawie.

Budziły się w nim z całą siłą wspomnienia dzieciństwa.

Zrobił kilka kroków w stronę wsi, ale przypomniawszy sobie, że cięży na nim piętno, cofnął się z obawą, by mu kto we wsi nie rzucił w twarz tego strasznego słowa „złodziej“ i chyłkiem poza opłotkami podążył ku cmentarzowi.

Niebogaty był ten cmentarz wiejski.

Nie było tam pomników, marmurów, złoceń. Ciche mogiły tuliły się do siebie, czasem tylko wystrzelając w górę rozrośniętym drzewem lub z grubsza ociosanym niezgrabnym krzyżem.

Ptaki tu i wichry były ogrodnikami. One to siały te drzewa wspaniałe, te sasanki i lilje polne, te stokrocie i astry dzikie, różnobarwnym dywanem okrywając ostatnie miejsce ludzkiego spoczynku.

Dawno tu Janek nie był. Ale pamiętał dokładnie tę mogiłę, z niezgrabnym przez ojca wyciosanym krzyżem, mogiłę do której tulił się chłopięciem i do której przyciskał pasem ojcowskim poorane plecy, rozumując, że to nie chłodna ziemia przynosi mu ulgę, ale matula tam z za grobu koi sińce słodkim swem dotknięciem.

I dziś, gdy złamano mu młode życie, zapragnął po dawnemu przytulić się do grobu matuleńki i poskarżyć na krzywdy i bole.

I tak wezbrały w nim żal ból i gorycz, że osunął się na zarosłą ziemię i z głośnem łkaniem przytulił się do mogiły.

Płakał długo, serdecznie i skarżył się tej mało-znanej matuchnie jak dziecię skrzywdzone.

I kto wie czy ta prosta nieuczona kobieta nie zanosła przed tron Najwyższego tych skarg, kto wie czy nie spłynęła na ziemię jako niewidzialny anioł pocieszyciel by ukoić bóle swego jedynego dziecięcia, bo w miarę jak Janek płakał ze łzami spływała z jego serca gorycz, nienawiść i żal do krzywdzicieli i gdy się podniósł z mogiły matczynej, podniósł się dziwnie pokrzepiony i otucha jakaś i nowa chęć życia wstąpiła w jego serce. Zdawało mu się, że tam z grobu szepce do niego głos jakiś.

— Nie martw się chłopaku, nie rozpaczaj, nie opuszczaj rąk! W świecie tylko przebojem coś zdobyć można!

Z cmentarza zwawszym już krokiem posunął się Janek ku chacie Macieja.

Pocziwy ojczysko zobaczywszy syna ucieszył się niezmiernie. Nie wiedział wprost gdzie go posadzić, czem uczęstować. Zaczął się kręcić po izbie

chcąc to to, to owo znosić, siłą dopiero musiał go Janek posadzić koło siebie na ławie.

Chropowatą spracowaną ręką głaskał go po głowie i drżącymi wargami powtarzał:

— Toś już widać, chwała Jezusickowi zdrowy synaczku, zdrowy!

— Zdrowym tatulu i przyszedłem was przeprosić za cały kłopot i zmartwienie jakieście mieli z mojego powodu.

— A za cóż ty mnie synku przepraszasz? A cóż ty biedaku winien, że się choróbsko na ciebie zważyło i zbiło cię z nóg! Łaska Boska, że wszystko minęło szczęśliwie. Wydobrejesz za jakiś czas zupełnie i pójdziesz se znowu na naukę, a Bóg dobry pozwoli mi przecież doczekać twych pryminy. O to jedno to mu się już dniem i nocą naprzykrzać będę!

Ze słów Macieja widać było, że ani ksiądz, ani nauczyciel nie wtajemniczyli go w wypadki zaszłe przed chorobą Janka.

Zrozumiał to Janek i już miał opowiedzieć otwarcie co go w szkołach spotkało, ale żal mu się ojca zrobiło i postanowił wyjawić mu prawdę dopiero po porozumieniu się z opiekunami.

Zbył też milczeniem uwagi ojca, posiedział jeszcze chwilę i poszedł ku plebanii.

Tam oczekiwano go już niecierpliwie.

Panna Marjanna była wprost w rozpacz.

I księdzu i nauczycielowi nawymyślała porządnie, że puścili Janka samego, że to teraz czas niedobry, że wilgoć wychodzi z ziemi, że Janek się napewno zaziębi i właśnie nagadawszy im co tylko mogła, miała biedz szukać go, gdy sprawca całej tej awantury zjawił się na szczęście.

Z niebывałym ferworem wpadła na niego, że w tym wieku już powinien mieć rozum, że widać chce się znowu rozchorować i wprowadziła go przemocą do pokoju nie pozwalając mu z nikim, ani słówka zamienić, a sama pobiegła co tchu zaparzyć jakieś ziółka, według niej jedynie i napewno chroniące przed przeziębieniem.

Ale zadługo Janek wysiedział się już w pokoju, żeby tak łatwo poddać się przemocy p. Marjanny i zaledwie drzwi się za nią zamknęły miał ochotę czmychnąć ale nadszedł właśnie ksiądz ze Zdarskim i ucikinięra we drzwiach przytrzymali.

— O, o, panie jakże to to! Jak siedziało, to siedziało, że nie można się było doprosić by rękę podniósł, a teraz to o panie dopiero przyszedł i znowu się gdzieś zabiera!

— Dajno pokój Janku! Na dzisiaj już dosyć tej przechadzki!

— Ależ ja teraz nie na przechadzkę. Chciałem tylko księdza dobrodzieja znaleźć i o coś poprosić!

— A toż mnie masz panie całego! Nie proś tylko gadaj, a z pewnością nie odmówię ci niczego!

Janek ucałował rękę księdza.

— Chciałbym się wypowiedzieć!

— Dobrze dziecko moje!





Akwarelami, *Motylku*, nazywamy farby, które rozprowadzają z pomocą wody, tak, aby powoli wsiąkały w biały papier, na którym artysta pragnie stworzyć obrazek. Pastele, są to suche, miękkie, jak pyłek farby, które rozcierają się na odpowiednio chropowatej powierzchni papieru. Portrety pastelowe bywają bardzo piękne, lecz łatwo ulegają zniszczeniu.

Farby zaś nie wszystkie pochodzą z minerałów; dużo barwników dostarczają nam soki roślinne; farby olejne są te, do których ostatecznego urobienia, czyli utarcia użyte są pewnego gatunku oleje np. siemieni-ny, lub makowy; fabrykacja jednak farb wymaga znajomości chemicznych i odpowiednich przyrządów, wątpię więc, by próby twoje udały się.

Postępek twój z owym chłopcem był prawdziwie szlachetnym i chrześcijańskim, rozradowałaś nim duszę „Przyjaciółki”.

Witam cię serdecznie, kochana *Przylaszczko*. i mam nadzieję, że teraz, kiedy już pierwsze lody złamane, zostaniesz stałą mą korespondentką, a listy twe będą zawsze, jak ten pierwszy, obszernie i szczegółowe?

O, tak, masz słuszność, bez matki źle jest bardzo, źle każdemu, a w szczególności małym dzieciom i młodym dziewczynkom.

Matka, to skarb niczem niezastąpiony, to świętość. Rozumiem więc dobrze, że swoboda, którą posiadacie nie cieszy was wcale, że jest powodem wielu kłopotów, i doskonale zrozumiałaś, że trudno jest sobą rządzić w tych zwłaszcza latach, które koniecznie potrzebują kierownictwa doświadczonej, kochającej ręki. To też, dziewczeczko moja, czuwaj najlepiej nad sobą, czuwaj nad młodszą Halszką, zwracaj się po radę do babuni swej i cioci, które choć oddalone, zawsze pośpieszą ci z pomocą, a nadewszystko, badaj codziennie swe serce i myśli, czy nie znajdziesz tam nic, czego by ci nieboszczka matka twa nie zganiła, staraj się zawsze zachowywać tak, aby ona w niebie cieszyć się z ciebie mogła. O zdrowie swe, kwiatu-szku miły, dbaj i panuj nad nerwami, zresztą masz przecież obowiązki rozjaśniać życie swemu ojcu, który też cierpi nad stratą waszej matki. Z siostrami utrzymuj serdeczną miłość; radabym je poznać, pewnie są tak miłe, jak i ty *Przylaszczko* moja?

Tulę cię serdecznie, kochanie, siostram twym, choć nieznanym zasyłam najlepsze życzenia.

Trafił więc wreszcie *Promień Słońca* do wiernej „Przyjaciółki”?

A tak mi już było za nim tęskno, tembardziej, że lato chmurne, bezsłoneczne; więc podwójniem rada *Promieniowi*...

Istotnie, dziwnie się złożyło z „Serduszką”, ale to tak czasami bywa, teraz zapewne cieszyć się sobą i nie zostajecie, ani na chwilę? Ale dlaczego nic mi nie piszesz o swym zdrowiu, wszakże mię to obchodzi bardzo, a mam wrażenie, że jest ci znacznie lepiej, tembardziej, że i list pisany już piórem i o uroczystości szwajcarskiej napisałaś tak, jakbyś w niej uczestniczyła.

Dziękuję ci za pamięć o Tadiusi, jest on już zdrowszy, może odbywać dalekie przechadzki; Halinka wesoła, rozbawiona i kolorki ozdobiły opaloną jej twarzyczkę, a za buziaka wywdzięcza ci się całusem.

Zapowiedzianego listu od „Serduszka” jeszcze

nie otrzymała, czekam więc, a tymczasem i jej i tobie zasyłam serdeczne uściśnienia.

Chociażbym rada *Konwaljo* zadość uczynić twej prośbie, brak czasu nie pozwala mi na to, musisz się więc zadowolnić odpowiedzią w „Skrzynce”; adres *Halinki* również na nic by ci się nie przydał, gdyż osoba ta zaledwie trzy lata liczy i do nauki pisania nieprędko jeszcze się zabierze, a więc ku zmartwieniu swemu korespondować z tobą nie może osobiście, chyba za mojem pośrednictwem. Rysunek twój dość jest udatny, ale chciałabym zobaczyć coś większego, może w następnym liście nadeszlesz jaką próbkę?

*Krwiożerczy Sokół* to brat *Konwalji* nieprawdaz?

Ale wolałabym, żeby ten *Sokół* nie był *krwiożerczym*, gdyż strzelanie do biednych wróbli bynajmniej mi się nie podoba, i dowodzi, że *Sokół*, choć przeszedł do 3-ej klasy, mało wie o przyrodzie, boć inaczej nie tępiłby ptasząt, przyjaciół człowieka, ptasząt, opiekunów rolnictwa. Ale zmienisz *Sokole* swe postępowanie względem miłutkich i pożytecznych tych stworzeń, i nietylko sam zaprzestasz ich tępienia, lecz i innych będziesz od tego odwoził, prawda *chłpcze*?

Wszakże „sokół” to symbol lotu ducha wzniosłego, szlachetnego i mądrego... takim więc sokołem bądź drogi *chłopcze*, dąż do tego co dobre, co piękne i zacne, a po drodze swej broń słabych, smutnych, nieszczęśliwych, *krwiożerczym* bądź tylko dla zła, dla występku.

*Kruk* to takie właśnie ma dążenia, a ja serdecznie się z tego cieszę, bo potrzeba nam ludzi, którzy kochając pracę i cnotę, przeciwdziałają jednocześnie złu we wszelkich jego objawach i tak około zła, jak i dobra nie przechodzą obojętnie, lecz staraj się pierwsze zwalczać, a drugie naśladować.

Ale dlaczego *Kruku* nie piszesz do mnie, jak do *przyjaciółki* pisać należy, tylko dajesz mi różne ceremonialne tytuły? Proszę cię, zwracaj się do mnie w sposób prosty i naturalny, dobrze?

*Rumiane Jabłuszko* to ogromnie miłuchna korespondentka! dziewięć lat zaledwie liczy, a tak już mądrze i poczciwie myśli, że radabym ucałować ją serdecznie.

Masz rację, kochanko, oszczędzać powinien każdy, choćby najbogatszy, bo marnotrawstwo pojedynczych ludzi pociąga za sobą ruinę całych rodzin, całego społeczeństwa, prowadzi kraj do upadku. Przepięknym wzorem oszczędności dla siebie był nasz wielki *Stanisław Staszic*, który oszczędzając, prawie skąpiąc na osobiste swe potrzeby, zostawił duży majątek dla kraju, na cele naukowe i dobroczynne; takich ludzi, jak *Staszic* niewielu bywa na świecie.

Oszczędności swe ofiaruj na cel dobroczynny, który najbardziej do serca twego przypada, ubranie zaś i bieliznę najlepiej jest przesłać pod adresem *Siostr Miłosierdzia* na Tamce u św. *Kazimierza*.

*Przyjaciółka*.

